

Anna Pojałowska

Ojciec w rodzinie bez ojca

Studia nad Rodziną 3/2 (5), 163-166

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Anna POJAŁOWSKA

OJCIEC W RODZINIE BEZ OJCA

Siedziałam przed domem i zajęta byłam powstrzymywaniem mojego dwuletniego synka przed wspinaczką na oparcie ławki, na której chciałam czytać mu bajeczkę. Był taki malutki, że kiedy wychylał się znad oparcia, wyglądało to, jakby wychylał się z balkonu. Bałam się, że spadnie i zrobi sobie jakąś straszną krzywdę. Po chwili nadszedł z pracy mąż i usiadł przy nas. Teraz on powstrzymywał mnie przed próbą ograniczenia naszego dziecka. Bałam się nadal, ale ufność do ojca mojego dziecka pomogła mi stłumić lęk o nie, a potem odczuć radość z obrazu dumy i szczęścia, malującego się na buzi naszego syna.

Pamiętam tak dokładnie to ciepłe popołudnie przed domem, bo wtedy właśnie przepełniło mnie jedno z tych zdarzających się nam zadziwień nad mądrością Bożą. Wtedy nie tyle zrozumiałam, co odczułam, jak mądry jest Bóg, że dał dziecku ojca i matkę, mężczyznę i kobietę. Gdyby nie nadszedł ojciec, moją matczyną troską, a właściwie lękiem przed własnym lękiem zamknęłabym jakąś furtkę przed moim dzieckiem. Odebrałabym mu jakąś, na jego wiek i miarę ważną, szansę na rozpoznanie kawałka świata i jego własnych możliwości.

Zdarzenie to, samo w sobie drobne i prawie nic nie znaczące, wspomniałam wiele razy później, kiedy w naszej rodzinie niedługo potem zabrakło obecności ojca. Nigdy nie zapominałam wypełniającego mnie w tamtej chwili uczucia wdzięczności dla Pana Boga, że tak to mądrze urządził. Zrozumiałam bowiem wówczas, w jednym przenikającym mnie olśnieniu, że człowieczeństwo nie dzieli się na męskie i żeńskie, ale że do swej pełni potrzebuje tego, co zawiera w sobie i co reprezentuje męskość i żeńskość i że w życiowym posagu dziecko musi dostać oba pierwiastki człowieczeństwa. – Tylko czy na życiu da się cokolwiek wymusić?

Jak wychować dziecko w rodzinie bez ojca, to znaczy bez jego fizycznej obecności? Czym innym jest bowiem sytuacja, w której ojciec jest, chociaż nie na co dzień. Jego wpływ jakoś się zaznacza, przynajmniej od święta albo w jakichś ważnych, trudnych, szczególnych sytuacjach. Są jednak matki, które wychowują dzieci bez żadnego uczestnictwa ojca – przede wszystkim wdowy, ale również te, które urodziły dziecko, chociaż ojciec nie chciał się do niego przyznać albo zmuszony się przyznać nie chciał już o nim słyszeć. Bywają i inne sytuacje, szczególne, i próżno by starać się je wyobrazić, nie o to

bowiem chodzi, ważne w tym wypadku jest jedno: brak obecności osoby ojca. Co wówczas z wyposażeniem w człowieczeństwo pozbawionych go dzieci?

Ileż razy, przez lata, kiedy nikt nie przychodził mi z pomocą w opanowaniu lęku o moje dziecko, lęku, który towarzyszył mi cały czas, jedynym moim ratunkiem były przyplływające skądś słowa: stosuje wiatr do wełny jagnięcia... Myślałam wtedy – skoro dopuścił ten wiatr na mnie, to znaczy, że moja wełna jest mocna, jest w stanie mu sprostać... Lęk. Dopóki go nie zaznałam, nie wiedziałam, co znaczy, tak jak nic o nim nie wiedzą, dzięki Bogu, matki, do których mąż przysiadł się na ławce w ciepłe popołudnie, łagodnie perswadując: pozwól mu, niech tam wejdzie, zdążę go w razie czego złapać. Im wolno się bać normalnie, tak jak ma prawo bać się kobieta, matka, trochę za bardzo, trochę na wszelki wypadek, tak żeby móc potem powiedzieć – a nie mówiłam?... Matka, która nie ma komu powiedzieć: a nie mówiłam?, nie ma prawa do takiego normalnego, powiedziałabym – spokojnego lęku. Ona sobie nie może na niego pozwolić właśnie dlatego, że to ona sama musi go sobie wyperswadować, to ona musi sobie powiedzieć: pozwól mu, niech tam wejdzie, zdążysz go w razie czego złapać...

Byłoby nieuczciwie, gdyby skorzystała z tego swego kobiecego, macierzyńskiego prawa do lęku na wszelki wypadek, nieuczciwie, bo to nie dziecko jest partnerem dla jej kobiecych potrzeb, jemu jest potrzebny ten drugi głos, głos, który z dumą równą jego własnej zdziwi się, że weszło tak wysoko. I to jest chyba największa trudność samotnego wychowywania dziecka.

Dać mu oba pierwiastki człowieczeństwa, kiedy ma się do dyspozycji tylko jeden. Skąd wziąć ten drugi? Udawać go, nawet gdyby to mogło mieć sens, się nie da. Nie da się udawać niesiebie. Można tylko się bardzo pilnować, żeby stale pamiętać o tym „drugim głosie”, tym, który wytlumi wszystko, co tak naprawdę jest własną, a nie dziecka potrzebą, czyli uświadomi to, co zwykle uświadamiamy sobie dzięki drugiej osobie, która widzi nas i sytuację inaczej. To nie jest łatwe, tak wciąż wychodzić poza siebie, nie jest łatwo patrzeć na wszystko zarazem od środka i z zewnątrz, to jest trudne, ale w tej sytuacji konieczne. Człowiek zawsze sprawdza się w relacji, w konfrontacji z drugim, innym uczestnikiem tej samej sytuacji. Sytuację rodzicielstwa można dzielić tylko z drugim rodzicem i tylko z nim można się sprawdzić, skonfrontować. Nikt go tak naprawdę i do końca nie może w tej roli zastąpić, ani najlepszy wujek, ani oddany dziadek, również nie psycholog, i żadna inna, najżyczliwsza nawet osoba. Jeśli go nie ma, pozostaje konfrontować się z sobą, z tym swoim „drugim głosem”, który obnaży to, co niepotrzebne, co ogranicza, co szkodzi. To jednak znaczy, że trzeba sobie odmówić nie tylko komfortu lęku na wszelki wypadek, ale też przyjemności darowania winy, którą skarci ktoś inny, zrezygnowania z wymuszenia posłuchu, który, gdy zajdzie potrzeba, potrafi wygzekwować ojciec. Mówiąc krótko, w pewnym sensie trzeba być zarazem i matką, i ojcem. Tylko że to nie jest rola dla jednej osoby.

Jak pokazać dziecku w tej samej sytuacji i odwagę, i ostrożność, łagodność i zdecydowanie, systematyczność i zachowanie spontaniczne, z fantazją – i tak dalej, i tak dalej... Jak sprawić, żeby zobaczyło, że na tę samą rzecz można patrzeć zupełnie inaczej, że można się mylić, a nawet błędzić, a jednak być godnym szacunku i miłości. Tego wszystkiego dziecko uczy się z rodzicielskich, jakże często różnych przeciwieństw w tych samych okolicznościach reakcji, a nawet z ich sprzeczek. Jak bez tego nie skrzywić obrazu świata, jak nie skrzywić sposobu reagowania na świat? Czy to w ogóle jest możliwe? Czy moje dziecko może nie być moralnym, psychicznym, społecznym kaleką? To jest właśnie lęk, który towarzyszy samotnej matce, obok tego codziennego, by nie powiedzieć banalnego lęku o to, czy będzie czym zapłacić za światło, czy koledzy z podwórka to odpowiednie towarzystwo, czy stopnie na świadectwie będą takie jak trzeba i czy uda się załatwić jakieś wakacje, jednym słowem lęku znanego każdej matce i każdemu ojcu.

Tak więc lęk i samokontrola. I ograniczanie – swoich potrzeb, swoich emocji, swoich reakcji. Normalnie ich wyraz, ich znaczenie znalazłyby naturalną przeciwwagę w brakującym tu pierwiastku męskim, w jego braku niepotrzebny margines trzeba obciążyć własnoręcznie. To nie tylko trudne, to również bolesne, a w dodatku znów lęk – bo skąd wiedzieć, czy przycięty nie za krótko. Albo nie za głęboko. Obkurczam w sobie tę moją „matczyność”, żeby nie zalać nią, nie zwichnąć wrodzonej dziecku równowagi, ale to przecież nie tylko moja potrzeba, żeby rozpieszczać, żeby rozpuszczać. To przecież jest potrzebne w rozsądnej dawce każdemu. Gdzie jest przepis na rozsądną dawkę? Z kim, z czym mam to skonfrontować? Więc się boję. Boję się rozpieszczać i boję się karcić. Czy tak da się wychować dziecko?! – i znów w głowie odzywają się słowa: stosuje wiatr do wełny jagnięcia...

Więc się modlę. Wiem, że On wyrówna moje krzywo przycięte marginesy, dopełni, czego zabraknie, naprawi, co zepsuje. Wie lepiej ode mnie, czego mi brak i czego mam w nadmiarze, nie zostawi mnie samej. Nie wiem, czy byłabym lepszą matką, lepszą wychowawczynią, gdyby towarzyszył mi w życiu mąż, tak jak wtedy, na tamtej ławeczce. Nie wiem też, czy w sumie mój syn dostałby więcej i lepszego, gdyby w życiu towarzyszył mu jego ojciec. Wiem natomiast, że trud samotnego rodzicielstwa jest ponad siły człowieka. To jest tak, jakby ktoś musiał pisać w normalnym tempie i z dbałością o kaligrafię lewą ręką, kiedy z natury potrafi pisać tylko prawą. To jest po prostu z natury niemożliwe. Jediną i jedyną drogą w tej sytuacji jest droga uświęcenia. To w ogóle jest droga wychowania człowieka i każdy rodzic nią iść powinien – dla rodzicielstwa okaleczonego, pozbawionego połowy siebie, nie ma innej możliwości.

Moje doświadczenia w tym względzie są doświadczeniami matki, jestem jednak pewna, że wszystko to dotyczy w takim samym stopniu zdanego na siebie samego ojca. Przypomina mi się wstający w nocy, by się modlić, ojciec Karola Wojtyły, papieża. Zaiste, rodzice nigdy nie są w swojej pracy sami.

Anna Pojalowska – God the Father in a Family with no Father

The author gives witness to the education of a child in a single-parent family, the education full of hardship which not infrequently exceeds human power. It is a specific way of sanctification, requires prayer and trust in the help of God